



Joanna  
**CHMIELEWSKA**

**Ślepe  
szczęście**

KLIN

**Joanna**  
**CHMIELEWSKA**

**Ślepe  
szczęście**



Redakcja: Ewa Kłosiewicz  
Korekta: Małgorzata Kot  
Projekt okładki: Natalia Smoleń  
Zdjęcie autorki: Witold Gawliński

Copyright by © Wydawnictwo Klin,  
Warszawa 2015

ISBN 978-83-62136-80-3

Wydawnictwo Klin  
ul. J. Sobieskiego 10 m 72  
02-957 Warszawa  
tel. +48 501 686 786  
e-mail: [m.g.klin@op.pl](mailto:m.g.klin@op.pl)  
[www.wydawnictwoklin.pl](http://www.wydawnictwoklin.pl)

## RZECZKA SKARBÓW

Wieść, całkowicie nieoczekiwana i brzemienna w skutki, została przyniesiona przez trzynastoletniego młodzieńca o odstających uszach i obliczu wdzięcznie usianym piegami. Niekoniecznie może podobny wysłańcom bogów, prawie dorównał im szybkością.

Obarczony nowiną Januszek pędził do domu, chcąc czym prędzej podzielić się ciężarem swojej wiedzy ze starszą siostrą, Tereską, a ewentualnie także z jej przyjaciółką, Okrętka. Sytuacja była wyjątkowa, wieści sam wykorzystać nie mógł i te dwie dziewczyny, bardzo stare, starsze od niego o całe cztery lata, traktowane na ogół dość obojętnie, teraz stanowiły jedyną nadzieję.

Tereska i Okrętka siedziały właśnie w ogródku za domem, ukończywszy przed chwilą podlewanie,

poprzedzone usuwaniem zielska. Odpoczywały. Całodzienny upał zelżał nieco, słońce zniżało się ku zachodowi, zwilżone wodą rośliny odzyskały odrobinę świeżości i zaczynały wydzielać z siebie coś w rodzaju miłego, wonnego chłodu. Można było trochę odechnąć.

Skracający sobie drogę Januszek pospiesznie przełazł przez ogrodzenie i pojawił się znienacka wśród krzaków porzeczek.

— Hej, słuchajcie! — wołał już z daleka, z wielkim przejęciem i tajemniczo. — Coś wam powiem! Dowiedziałem się czegoś! Mówię wam, galaktyczna bomba!

Tereska i Okrętka spojrzały na niego bez żadnego zainteresowania. Nie zdążyły jeszcze odżyć po upale i wysiłkach. Zaledwie przed kilkoma minutami wypuściły z rąk narzędzia ogrodnicze i osunęły się bez sił, jedna na stołeczek pod drzewem, a druga na niski pień, zamierzały wreszcie trochę odpocząć i warstwa przyjemnego odrętwienia odgradzała je od wszelkich sensacji.

Januszek wyplątał się z krzaków.

— Słuchajcie, jeden mój kumpel mówi, że w jednej takiej rzeczce, niedaleko, słuchajcie, mówi, że są raki!

Dwie pary oczu patrzyły na niego obojętnie i bezmyślnie.

— No to co? — spytała po chwili Tereska apatycznie.

— Jak to co? Raki są, mówię przecież! Prawdziwe raki! Mój kumpel mówi, że można ich nałować!

Przyjaciółki nadal patrzyły na niego bez emocji, w milczeniu, najwyraźniej nie doceniając wagi informacji. Januszek się zdenerwował.

— No co tak siedzicie jak zmurszałe pnie! Głuche jesteście? Mówię wam, że są raki! Mój kumpel widział na własne oczy! Można ich nałowić! Jeszcze jak żyję nie łowiłem raków! Co wy na to? Ta rzeczka jest dosyć blisko... No, co wy na to? Raki podobno można jadać, nałapiemy i zjemy! No? Co wy na to...?

Do Tereski treść komunikatu zaczęła z wolna docierać. Raki... Stwory nieomal egzotyczne... Z rybami miała do czynienia, ostatnio nawet dość dużo, z rakami nigdy. Rzeczywiście, a gdyby tak pojechać na raki...?

— Gdzie ta rzeczka? — spytała z odrobiną ożywienia.

Januszek pojął od razu, że ziarno zapału pada na żyzny grunt. Sapnął triumfująco, usunął ze ścieżki przewróconą konewkę i podnózek leżaka i usadowił się na zwiniętym szlauchu.

— Za Lublinem. W lesie. Będzie ze sto pięćdziesiąt kilometrów, nic takiego. Wiem jak tam jechać, bo on mi narysował drogę.

— Kto?

— Co kto?

— Kto ci narysował drogę?

— No jak to kto, ten mój kumpel!

— A on co? Nie chce jechać?

— Chce, ale nie może, bo go wloką do Gdańska. Rodzina. Myślałem, że znajdę paru innych kumpli, ale jeszcze nikogo nie ma, nie wrócili z wakacji. Tylko wy mi zostajecie. No? Co wy na to?...

Nieobecność kumpli Januszka od razu wzmogła zainteresowanie Tereski proponowaną wyprawą. Wyjazd w towarzystwie bandy nieznośnych smarkaczy byłby w ogóle nie do strawienia, w tej sytuacji jednakże owe

niezwykłe łowy mogły mieć pewien urok. Ona też nigdy w życiu nie łąpała i nie jadła raków, nigdy w życiu nie widziała nawet z bliska żywego raka...

— No? — powtórzył Januszek niecierpliwie. — Jedziemy?

Tereska nie namyślała się już ani chwili.

— No pewnie, że jedziemy. Możemy zaraz jutro. Okrętka, co ty na to?

Wsparta plecami o pień jabłoni Okrętka wydała z siebie ciężkie westchnienie. Zajęta była właśnie porządkowaniem własnych skomplikowanych uczuć, z których jedna część kłóciła się z drugą. Z jednej strony napawała się błogim przeświadczeniem, że po wszystkich wakacyjnych przeżyciach i wstrząsach te ostatnie dni lata upłyną łagodnie, bez emocji i okropnych niespodzianek. Aż do rozpoczęcia roku szkolnego będzie miała święty, anielski, upragniony spokój. Z drugiej jednakże, po siedmiu tygodniach włóczęgi na Jeziorach Mazurskich, po tej wodzie, lasach, świeżości i przestrzeni, miasto wydawało się beznadziejnie obrzydliwe i duszne, ulice w ogóle nie do zniesienia, plaże i baseny wstrętne i nawet ten ogródek Tereski robił wrażenie przykurzonego, ciasnego i ograniczonego. W głębi duszy tęskniła do tamtego czystego, rozległego pleneru. Propozycja Januszka przestraszyła ją, zarazem zwiększając tęsknotę. Zawahała się.

— Bo ja wiem... — powiedziała niepewnie.

— Co to znaczy, bo ja wiem?! — oburzył się Januszek. — Raki to jest rzadka rzecz! Jedyna okazja!

— No właśnie! — poparła go Tereska. — On ma rację. Jadłaś kiedy raki?

Okrętka pokręciła głową.

— Nie jadłam, ale... Ale myślałam, że już do końca wakacji będzie spokój...

— No pewnie, że będzie, czy tu ktoś mówi, że nie będzie spokoju? — zdziwiła się Tereska. — Mamy te raki łowić nerwowo, czy co? A to jest rzeczywiście jedyna okazja, żeby tego spróbować, możliwe, że ostatnia. Raków jest coraz mniej, przypominam ci, że one żyją tylko w czystej wodzie. Jeszcze trochę i na raki będziesz musiała jechać do Kanady albo do tajgi ussuryjskiej...

Całkowicie pomijając wątpliwości, czy istotnie w tajdze ussuryjskiej może panować urodzaj na raki, na samą myśl o wyprawie w wymienione przez Tereskę rejony, Okrętka poczuła dreszcz paniki. Nieuchronność podróży do tajgi ussuryjskiej, względnie w dziewicze puszcze Kanady w celu łowienia raków od razu przygniotła ją nieznośnym ciężarem. Z dwojga złego wolała już okolice Lublina, spróbowała jednak jeszcze się bronić.

— A czy ja muszę jadać raki? — spytała tonem rozpaczliwego protestu.

— Oczywiście, że musisz! — wykrzyknęła Tereska. — Przynajmniej raz!

— No pewnie! — przyświadczył gorąco Januszek. — Kto to widział, nigdy w życiu nie zjeść raka?! I nie złapać?! Takie życie jest w ogóle zmarnowane!

Okrętka chciała zaprzeczyć tej ocenie sposobów marnowania życia, ale nagle tknęła ją nowa myśl.

— Czy one są podobne do węgorzy? — spytała z nikłym ożywieniem.

— Z wyglądu? — zdziwił się podejrzliwie Januszek.

— Nie, w smaku...



Januszek już otworzył usta, żeby udzielić wyczerpującej odpowiedzi, ale Tereska uciszyła go stanowczym gestem. Namiętność Okrętki do węgorzy, wędzonych i smażonych, przekraczała wszelkie granice i Tereska znała ją doskonale. Oczywiście, że jedyne, co mogło skłonić jej przyjaciółkę do wyprawy na raki, to nadzieja na smak węgorzy. Tereska nie miała zielonego pojęcia, jak smakują raki, ale to było bez znaczenia.

— Bardzo podobne — oświadczyła z przekonaniem. — Prawie zupełnie takie same.

Zaskoczony Januszek z otwartymi ustami spojrzał na siostrę, nie pojmując przyczyn tego dziwnego stwierdzenia. Według jego wiadomości raki z węgorzami nie miały nic wspólnego. Uznał, że coś w tym musi być i na wszelki wypadek przyświadczył. Tak jest, węgorze i raki to prawie jedno i to samo, z całą pewnością, wszyscy kumple mówili...

Okrętka poczuła w sobie wyraźniejszy cień ożywienia, a pragnienie świętego spokoju zdecydowanie przywędło.

— No dobrze — zgodziła się. — Ale to jest podobno bardzo skomplikowane. Potrzeba mnóstwa rzeczy... I w ogóle czym pojedziemy?

— Autobusem oczywiście...

— Od autobusu to jest kawałek — przerwał mężnie Januszek. — Najmarniej trzy kilometry.

Teresce pomysł już się zaczął podobać i głupie drobiazgi nie miały na nią wpływu.

— No i co z tego? Nie przejdiesz trzech kilometrów? Wyjedziemy jutro w południe i będziemy na miejscu akurat przed wieczorem. Raki się łapie w nocy.

Okrętka niespokojnie pokręciła głową, odczepiła włosy od pnia jabłoni i wyprostowała się na stołku.

— Ale chyba musimy mieć wiaderko. Coś słyszałam, że raki łapie się do wiaderka. One muszą mieć wodę...

— Nie wiaderko, tylko worek — poprawił Januszek. — Raki łapie się do worka.

— Nic nam nie przeszkadza zabrać jedno i drugie — zdecydowała energicznie Tereska. — Nie ma zakazu wożenia wiaderek autobusami. Trzeba zapytać babcię, co wie o rakach, jak to się wozi i tak dalej, bo może trzeba je mordować na miejscu...?

— Ja nie morduję! — krzyknęła Okrętka nieco histerycznie.

— Jakby co, to ja mogę — zaofiarował się Januszek.

— A może trzeba je trzymać w wodzie — ciągnęła Tereska — jak ryby na przykład. Albo w soli. Babcia miała do czynienia z rakami i powinna takie rzeczy wiedzieć. Wiem na pewno, że trzeba mieć latarki albo pochodnie. Poza tym weźmiemy namiot, bo może zostaniemy tam dwa albo trzy dni, możemy nie znaleźć od razu właściwego miejsca. Jeżeli jedziemy na raki, ja bez raków nie wracam!

— Fajnie! — ucieszył się Januszek. — Jak nie będzie raków, zostaniesz tam na zawsze i ja zajmę twój pokój. Ale mój kumpel mówi, że to się łapie na żaby. Na haczyk. Warto by wziąć wędkę...

— Jakie żaby, coś ty!?! To się łapie ręką!

— Ale co wy mówicie, jaką ręką, podobno to się łowi siatką...

— Ale żaby muszą być na wabia!...

Nagle okazało się, że w kwestii połowu raków wszyscy mają mnóstwo wiadomości. Fakt, że wiadomości te były sprzeczne ze sobą, nie przeszkadzał w najmniejszym stopniu. Nie ulegało wątpliwości, że raki żyją w wodzie i że łowi się je nocą, i w zasadzie ta pewność wystarczała.

Narada z babcią uzupełniła wiedzę. Wprawdzie w pierwszej chwili jako artykuł podstawowy i niezbędny babcia wymieniła koper, szybko jednak okazało się, iż koper dotyczy drugiej fazy kontaktu z rakami, a mianowicie gotowania. W fazie pierwszej, połowu, można go pominąć. W kwestii metod łowienia babcia nie miała żadnego zdania, co do transportu natomiast wypowiedziała się bardzo stanowczo. Wyszło na jaw, że raki muszą przyjechać w wiaderku z wodą, żywe, inaczej bowiem zaśmierdną się i będą nie do użytku. W wodzie powinno znajdować się jakieś zielsko, najlepiej pokrzywy. Łapie się tylko duże, długości co najmniej dwudziestu centymetrów i musi ich być kilka tuzinów, bo inaczej w ogóle nie ma o czym mówić. Przyrzucić je babcia potrafi.

Dwie kuchnie zostały zubożone o dwa wiaderka na śmieci, plastikowe, z przykrywkami. Ojciec Tereski bez oporu pożyczył dwie wędki i mnóstwo haczyków. Namiot był w porządku, materace również, cały biwakowy sprzęt, używany tak niedawno, znajdował się pod ręką. Do towarzystwa przyłączył się Zygmunt, brat Okrętki, który, dowiedziawszy się o planowanej wyprawie, natychmiast z wielkim zapałem zgłosił chęć uczestnictwa. On również nigdy w życiu nie łowił raków.

— Niech jedzie, co? — powiedziała zachęcająco Okrętka do Tereski. — Będzie nosił te ciężkie rzeczy

i w ogóle może się przydać. Ma drugi namiot. I ma taką siatkę, mówi, że odpowiednia, chociaż nie wiem, jak ją weźmiemy, bo jest na drągu.

— Mnie raczej ciekawi, jak będziemy wracać z połowem — odparła Tereska trochę niespokojnie. — Tam to nic, ale z powrotem w tych wiaderkach powinna być woda...

— Teraz się o to martwisz? Żeby zauroczyć?

— Rzeczywiście, masz rację. Później się pomartwimy, a na wszelki wypadek nie zapomnijmy o przykrywkach. Przynajmniej nie będzie chlapało.

— Widzę, że masz wielkie nadzieje. Osobiście byłabym pewniejsza, gdyby ktoś z nas już kiedyś to łapał. Szkoda, że nie ma...

— Czego? — spytała niecierpliwie Tereska, bo Okrętka urwała zdanie, najwyraźniej nie zamierzając go kończyć.

— Nie czego, tylko kogo — odparła Okrętka sucho i znów zamilkła, całą uwagę poświęcając starannemu wycieraniu umytego wiaderka.

Tereska nie musiała już dalej pytać. Bez najmniejszego wahania odgadła, jaką to ludzką jednostkę jej przyjaciółka może mieć na myśli. Gdzieś, w środku, odczuła delikatne piknięcie, które sprawiło, że cicha błogość zalała jej nastoletnią duszę. Istniał ktoś taki... Ktoś taki, w kim, oczywiście, wcale nie była zakochana, broń Boże, ani też, tym bardziej, on w niej, cóż znowu, nic z tych rzeczy... Ale jednak ktoś taki istniał...

— Nie wiem po co — powiedziała po chwili milczenia. — Wcale nie szkoda. Jestem pewna, że on doskonale umie łowić raki, sama mówiłaś, że jest za dobry

i jak już umie, to umie. Wszystko byłoby proste i łatwe i nic by nas niezwykłego nie spotkało...

— No wiesz...! — wykrzyknęła ze śmiertelnym oburzeniem Okrętka, na moment aż nieruchomiejąc. — Mało ci było...?! Przecież mi właśnie o to chodzi! Jeszcze ci nie dosyć tych niezwykłości przez całe wakacje?! Chociaż jeden raz mogłoby się obyć, na rakach mi zależy, a nie na niezwykłościach i jeżeli sobie wyobrażasz, że znów dam się wpędzić w coś takiego...!

— Dobrze już, dobrze — powiedziała Tereska pospiesznie i ugodowo. — Nie wiem, jakie niezwykłości chcesz znaleźć nad zwyczajną rzeczka z rakami...

— Żadnych nie chcę! To ty chcesz!

— Ja też nie chcę, wystarczą mi raki. Zostaw to naczynie, przetrzesz je na wylot. Raki same w sobie są dostateczną niezwykłością i niczego więcej możesz się nie spodziewać. Już dobrze, niech ci będzie, szkoda, że go nie ma...

Okrętka odstawiła wiaderko, zdjęła z suszarki pokrywę i mechanicznie zaczęła ją wycierać, zatroskanym wzrokiem patrząc gdzieś w dal.

— Zmieniłam zdanie — oznajmiła nagle z lekkim rozgoryczeniem. — Nie szkoda. Lepiej, żeby go nie było. Spotykasz go zawsze wtedy, kiedy dzieje się coś dziwnego, nie daj Boże znów jakiegoś okropieństwa. Niby nic, same raki i rzeczka, a diabli wiedzą, co się może okazać. Nie wiem, skąd się to bierze, ale do tych koszmarnych dziwolągów mamy ślepe szczęście...

Cztery młode, zgrzane i ciężko zasapane osoby zboczyły z polnej drogi i zatrzymały się w cieniu pod lasem około godziny piątej po południu. Upał trwał. Na skraju lasu było prawie równie gorąco jak wśród szczyrych pól, najmniejszy powiew nie poruszał powietrza. Tereska usiadła na pieńku, wachlując się chustką na głowę, Okrętka przyklękała na mchu, usiłując zebrać na ciemieniu wszystkie włosy, które opadały jej ciągle na szyję i potwornie grzały. Zygmunt zrzucił z ramion plecak, popatrzył na siostrę i pozazdrościł jej możliwości. Miał włosy zbyt krótkie, żeby dało się zebrać je w kok, za to dostatecznie długie, żeby ogrzewały uszy. Pomyślał, że chyba jednak niepotrzebnie czekał ze stryżeniem do końca wakacji...

— Z tego wszystkiego jedyne, co się zgadza, to fakt, że doszliśmy do lasu — rzekł zjadliwie. — Mała sztuka, do jakiegoś lasu zawsze się dojdzie. Za jaki miesiąc dojdziemy może i do wody.

— W lesie można przenocować — wymamrotała niepewnie Okrętka.

— Pokaż tę mapkę! — zażądała gniewnie Tereska, podnosząc się z pieńka. — Albo ten twój kumpel jest niedorozwinięty, albo ty. Nie było żadnych wielkich stogów siana ani żadnego żółtego pola. Diabli wiedzą, gdzie jesteśmy!

— Ale szosa się zgadza i słup telegraficzny był! — zaprotestował Januszek. Oparł swoje brzemień o pień drzewa i wygrzebał z kieszeni pogniecioną kartkę papieru, którą Tereska od razu wydarła mu z ręki. —

Skręciliśmy gdzie trzeba i jesteśmy w odpowiedniej okolicy, ja wam to mówię!

— Słupów telegraficznych było dosyć dużo — wytknął zgryźliwie Zygmunt. — I wszystkie podobne do siebie...

Czarowna podróż dwoma zatłoczonymi autobusami, a potem na piechotę, kamienistą, zakurzoną drogą wśród pól wywarła wyraźny wpływ na nastroje i przygasiła nieco pierwotny zapał. Potępienie kretyńskiego pomysłu wyprawy na raki zaczynało już delikatnie kiełkować. Jedyną pociechę stanowił zabrany przez Januszkę składany rower, który służył teraz jako środek transportu. Jechać na nim, oczywiście, było niemożliwe, załadowany i obwieszony bagażami do ostatnich granic wytrzymałości pozwalał się tylko prowadzić. Dług od starej siatki Zygmunta, sprawiający szalone trudności w autobusie, teraz okazał się wprost bezcenny, zastępował bowiem ramę. Myśl, że bez roweru trzeba by to wszystko nieść na plecach, łagodziła nieco stosunek do Januszka.

— Zdaje się, że za drugim razem skręciliśmy obok niewłaściwego słupa — powiedziała ponuro Tereska, studiując pogniecioną kartkę. — Siano zawieźli do sto- doły, a to żółte przekwitło i zmieniło kolor...

— Tak od razu przekwitło? — przerwał niedowierzająco Januszek. — Trzy tygodnie temu było żółte. Ty, weź to...

Podtrzymał osuwający się rower, przekazał go Zyg- muntowi i razem z Tereską jął oglądać kartkę.

— Może skosili? — powiedziała Okrętka i również podniosła się z mchu. — Mam wrażenie, że po drodze było coś skoszonego.

— Nawet taka większa ilość — przyświadczyła sarkastycznie Tereska. — Jest po żniwach. Według tego, co tu widzę, zalecieliśmy za daleko. Rzeczka płynie bliżej, powinniśmy się przedrzeć przez ten las na lewo. Do drugiej drogi.

Zygmunt oddał kierownicę roweru Okrętce i również obejrzał kartkę.

— Właściwie nie jest źle — zawyrokował po namyśle. — One się do siebie zbliżają, te drogi, możliwe nawet, że idziemy na skróty...

— Ten cały kawał drogi to na skróty...?!

— Nie, teraz na skróty. Te raki, to gdzie, na początku lasu czy w głębi?

— Na początku — rzekł pospiesznie Januszek. — Ledwo kawałek w las. To miejsce to ja poznam, bo tam jest mostek i pagórek. I droga skręca, ma być brukowana, a z drugiej strony takie bagienko...

— Tutaj odchodzi droga przez las — zauważyła Okrętka, obserwująca nie kartkę, lecz naturę. — Moim zdaniem dobra dla nas, ma odpowiedni kierunek, chociaż nie wiem co dalej. Może spróbować?

Po krótkiej naradzie zdecydowano, że Januszek wsiądzie na rower i spenetruje kierunki dróg, reszta wyprawy zaś, razem z bagażem, poczeka na skraju lasu. Januszek ma obowiązek nie zabłądzić, znaleźć rzeczkę i dobre miejsce na biwak. Raki zostawić w spokoju, poszukiwanie raków można, ostatecznie, odłożyć do jutra.

W kwadrans później, trochę niespokojny, a trochę dumny z zadania Januszek wyjechał z lasu na sąsiednią drogę i zatrzymał się, nieco zaskoczony. Tuż za nim, blisko drogi, zostało bagienko, obok którego szła



wąska, czarna ścieżka. Przed sobą widział brukowaną kamieniami, nierówną szosę, pełną dziur i wądołów, wznoszącą się nieco i okrążającą niewielki pagórek. Przed pagórkiem widniał mostek, pod nim zaś wesoło pluskała rzeczka, niknąca gdzieś dalej w lesie. Nie wierząc własnym oczom, Januszek sięgnął po pogniecioną kartkę, obejrzał ją, porównał z plenerem dookoła i poczuł potężne wzruszenie, połączone z jeszcze potężniejszym zdumieniem. Wyjechał dokładnie na miejsce, opisane przez kumpla!

Nie zawrócił od razu. Wsparty o kierownicę roweru napawał się przez chwilę błogością i triumfem, wyobrażając sobie zaskoczenie i podziw tamtych trojga, których tak bezbłędnie doprowadził do celu. Odszczekają teraz wszystko, co na niego wygadywali! Żeby jeszcze te raki nie zawiodły...

Przeprowadził rower przez rów, oparł go o pień drzewa i popędził ku rzeczce. Płynęła leniwie, dość płytko i czysta, widać było piaszczyste dno i trochę czegoś czarnego przy brzegach. Krzewy i drzewa rosły tuż nad nią, to gęściej, to rzadziej, tworząc trawiaste polanki. Przeciwny brzeg był wyższy, mocniej zarośnięty i niedostępny. Pochylony Januszek wpatrywał się pilnie w wodę z nadzieją dostrzeżenia chociaż jednego małego skorupiaczka, nic jednakże nie wskazywało na ich obecność. Nieco rozczarowany, pocieszył się przypomnieniem, że rakom z jakichś powodów potrzebna jest noc, w dzień zatem mają prawo być niewidoczne. Zaniechał wypatrywania, porzucił rzeczkę, przebiegł przez mostek i zanurzył się w las po drugiej stronie, idąc ścieżką wzdłuż strumienia, u podnóża pagórka.

Teren był dość zarośnięty. Panująca wokół najdoskonalsza cisza sprawiła, że Januszek przestał przedziierać się przez kępy zielska z głośnym szelestem, zaczął omijać zarośla i poruszać się bezgłośnie. Okrążająca pagórek ścieżka oddaliła się nieco od rzeczki, Januszek zwolnił, wydało mu się, że słyszy jakiś dźwięk. Zatrzymał się, przestał oddychać i nadśluchiwał, bez żadnych złych przeczuc, zwyczajnie zaciekawiony, bo mogło tam być jakieś interesujące zwierzę...

Dźwięk istniał, tak nikły, że właściwie ledwo do słyszalny i nie do rozpoznania. Gdyby to było zwierzę, należało go nie spłoszyć. Z największą ostrożnością Januszek uczynił jeszcze kilkanaście kroków, wciąż usiłując nie oddychać, razem ze ścieżką zbliżył się do drugiej strony pagórka...

Dźwięk rozległ się nieco wyraźniej. Jakby brzęknięcie i szuranie. I znów szuranie, i brzęknięcie. I głosy. Niewątpliwie ludzkie.

Na wszelki wypadek, bez żadnej racjonalnej przyczyny, Januszek przykucnął, a potem przykląkł. Na czworakach przeczołgał się kawałek dalej, delikatnie usuwając przed twarzy różne łodygi i gałązki. Głosy i szurnięcia rozległy się bliżej. Januszek znów się poczłogał, okrążył już pół pagórka i znalazł się prawie po jego drugiej stronie. Ostrożnie rozchylił zielska i wyrzął.

Znajdowało się tam dwóch ludzi. Byli bardzo zajęci, spieszyli się, rzucali sobie półgłosem krótkie zdania i pojedyncze słowa. Januszek obejrzał ich dokładnie, usłyszał, co mówili, przez długą chwilę jeszcze nie mógł zrozumieć, co widzi i słyszy, aż nagle do niego dotarło...